



THE MOST
VALUABLE
PERSON

MVP

HISTORIA EMILY,
SIOSTRY MII

A.G. RAVEN
OLA ROCHOWIAK

Bliss

Redaktorka prowadząca i wydawczyni: Olga Gorczyca-Popławska

Redakcja: Katarzyna Sarna

Korekta: Olek Zawisza

Projekt okładki, wyklejki i brzegów: Anna Jamróż

Ilustracje na okładce, wyklejce i brzegach: Anna Jamróż

DTP: Maciej Grycz

Copyright © Aleksandra Rochowiak, 2026

Copyright © 2026, Bliss an imprint of Wydawnictwo Kobiecte

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-503-3

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



Bliss

1

Prawo Mendla



EMILY

Gdyby nauka była nielegalna, pewnie zdecydowana większość dzieciaków łamałaby prawo, żeby nocami studiować podręczniki i rozwiązywać skomplikowane działania pogłębiające wiedzę. Uczniowie zakładaliby tajne stowarzyszenia, ukradkiem zakradali się do bibliotek i przepisywali informacje, których na co dzień nikt nie mógłby im udostępniać. W końcu zakazany owoc smakuje najlepiej. Jednak w świecie, w którym dostęp do edukacji jest wręcz przymusem, ta sprawa wygląda dokładnie odwrotnie.

Aby potwierdzić tę tezę, wystarczyły obserwacje z pierwszych tygodni po rozpoczęciu roku szkolnego w Weston High School. Gdybym miała określić swoje spostrzeżenia jednym słowem, wybrałabym określenie: chaos. Tylko nie taki mitologiczny, który towarzyszył początkom świata, a taki zwyczajny, który niezbyt korzystnie wpływa na przyszłość ludzkości. Nauczyciele

dwoili się i troili, by zainteresować uczniów zagadnieniami, a ci wykazywali się nad podziw luźnym podejściem do nauki i niemal zerowym zaangażowaniem w prezentowane treści. Może i ciałem znajdowali się w zamkniętych salach lekcyjnych, ale myślami wciąż wracali do beztrudnych wakacyjnych wspomnień i ukradkiem grzebali w telefonach. Naprawdę uzależnienie od mediów społecznościowych to nasza zguba. Jestem przekonana, że kiedyś naukowcy wspomną moje słowa.

Jedynie pierwszorzecznicy przykładali większą wagę do wypowiedzianych przez nauczycieli gróźb związanych z ciężką harówką i zakuwaniem do późnych godzin nocnych. Reszta skupiała się raczej na bujnym życiu towarzyskim albo licząc na łut szczęścia, przedstawiała spisane w szkolnej łazience prace domowe i wypełniała testy, dając z siebie absolutne minimum, żeby jakimś cudem zaliczyć wszystkie przedmioty i prześlizgnąć się do następnej klasy.

Maturzyści myśleli jedynie o balu na zakończenie roku, a do tego wydarzenia zostało jeszcze kilka miesięcy! Poważnie, jak dla mnie nadmiar wolnego czasu mogliby przeznaczyć na czytanie książek lub chociaż powtórkę materiału z zeszłego roku.

Atleci bez przerwy dyskutowali na temat zbliżających się zawodów, a koszykarze całą swoją uwagę skupiali na tym, by kolejny rok z rzędu wygrać mistrzostwa i zdobyć jak najwięcej ofert od rekruterów i z prestiżowych uczelni.

Drużyna Błyskawic, która od lat nie miała sobie równych, była wizytówką Weston High School. Należący do niej sportowcy mieli zagwarantowane miejsca na najlepszych uniwersytetach i w składach drużyn stanowych, ale też cieszyli się powodzeniem u płci przeciwnej. Sama już nie wiedziałam, na czym zależało im bardziej.

Zawodnicy mogli liczyć na taryfę ulgową u kibicujących im nauczycieli – muszę przyznać, że nigdy wcześniej nie spotkałam się z równie wielką niesprawiedliwością. Otrzymywali też w pakiecie niezdrowe uwielbienie biegających za nimi cheerleadeerek. Jeśli uczestniczyli w meczach wyjazdowych, sprowadzano specjalne autokary, które dowoziły kibicujących im licealistów. W końcu nasi nie powinni stracić ducha walki, a aplauz ze strony widowni nie mógł ucichnąć nawet na moment...

Oczywiście ta koszykarska gorączka nie dotyczyła ani mnie, ani moich przyjaciół. Zdecydowanie woleliśmy zgłębiać fascynujące tajemnice biologii i chemii niż obserwować, jak inni celują gumową piłką w obręcz.

Już od podstawówki wiedziałam, że obcowanie ze zwierzętami to moje przeznaczenie. Kochałam otaczający mnie świat równie mocno jak moja mama, a do tego darzyłam ogromnym szacunkiem każdą żywą istotę, bez względu na to, czy była ona bezkręgowcem, płazem, czy stawonogiem. Nie pozwalałam, by ktokolwiek krzywdził niewinne pająki, które tkając swoje sieci w naszym domu, jedynie szukały schronienia bądź pokarmu. Gdybym mogła, przygarnęłabym wszystkie bezdomne psy i koty blakające się po ulicach naszego miasta.

Żyłam w zgodzie z naturą. Ubierałam się w second handach, by zmniejszyć ilość tekstylnych odpadów zalegających na wysypiskach, i używałam jedynie wegańskich kosmetyków. Zrezygnowałam też z jedzenia mięsa, by nie być winną śmierci żadnego stworzenia. Oddałam się opiece nad mieszkającymi w moim domu psiakami i każdego dnia realizowałam swoją misję: pogłębiałam wiedzę i dążyłam do tego, by zostać weterynarką.

Mój pokój wypełniały encyklopedie i atlasy zwierząt, które przeglądałam w wolnych chwilach. Kolekcjonowałam zatopione w żywicy owady, dokarmiałam ptaki i wiewiórki, a do tego

co roku, przed Świętem Dziękczynienia, prowadziłam zbiórkę żywności dla mieszczącego się w Weston schroniska dla zwierząt – niestety, te akcje cieszyły się dość niskim zainteresowaniem. Może gdybym była popularna, biedne psiaki dostałyby coś więcej niż pięć kilo suchej karmy i kilka puszek z mięsem. Mimo to nie zamierzałam się poddawać.

Bywało, że w ciągu roku zajmowałam się w szkole kolportażem ulotek, które nawoływały licealistów do zmniejszenia emisji dwutlenku węgla. Wraz z przyjaciółmi chcieliśmy zachęcić starszych uczniów do zamiany auta na inny, bardziej ekologiczny środek transportu i uświadomić im, jak nadprodukcja dwutlenku węgla wpływa na ekosystem. Byłam upierdliwą aktywistką, a moja siostra uważała, że niedługo przywiążę się do jakiegoś drzewa, byle tylko uratować je przed ścięciem. Cóż, nie wykluczam, że kiedyś znajdą mnie przypiętą do palmy albo starego dębu wirginijskiego.

Na szczęście Tiffany Martin, moja najlepsza przyjaciółka, podzielała te same wartości co ja i wspierała mnie w każdym podjętym przeze mnie działaniu. Od pierwszej klasy szkoły średniej razem dbaliśmy o środowisko, dzieląc się z uczniami Weston High School swoją wiedzą na temat ekologii i negatywnego wpływu śladu węglowego na bioróżnorodność Ziemi. Gdy tylko udawało się nam przekonać do naszych racji choć jednego licealistę, czułyśmy się jak superbohaterki, a to doznanie warte było wszystkich podjętych wysiłków. A nawet upokorzeń, z którymi musiałyśmy się mierzyć.

Kiedyś Jessica Chapman z równoległej klasy celowo ochlapała mnie błotem, gdy razem z Tiffany, Liamem McCraftem i Noahem Lyonsem protestowaliśmy przeciwko renowacji trawnika wokół liceum. Według założeń architekta krajobrazu plac miał zostać wyłożony kostką brukową, przez co wiele gryzoni

i owadów straciłoby życie i dach nad głową. Dyrekcja była głucha na nasze prośby, wskazując, że powstają tam rozległe błotne kałuże, przez które cierpi estetyka terenu wokół szkoły. Na każdej przerwie i podczas lunchu razem z przyjaciółmi z kółka biologicznego wystawialiśmy banery nawołujące radę pedagogiczną do zmiany zdania. Nie spodobało się to jednak Jessice, która w akcie protestu postanowiła obrzucić nas zawartością jednej z kałuż. Oczywiście, jako cheerleaderka i duma naszej szkoły, nie poniosła z tego tytułu żadnych konsekwencji. Ja za to do końca dnia musiałam chodzić w brudnych ubraniach, wyczesując z włosów drobinki mokrej ziemi.

Nasz sprzeciw mimo to nie ustawał. W końcu zmęczeni nawoływaniem pod oknami pokoju nauczycielskiego pracownicy liceum zdecydowali się na kompromis. Trawnik podzielono na dwie części – jedną wyłożono kostką, drugą obsadzono kwiatami i posiano tam trawę. Mogliśmy odetchnąć.

Ostatni rok, który spędzałam w murach znajomej placówki, miał być taki sam jak każdy poprzedni. Zamierzałam skupić się przede wszystkim na nauce, by za kilkanaście miesięcy rozpocząć studia na wybranym uniwersytecie i zostać najlepszą, najbardziej empatyczną lekarką od zwierząt w Stanach Zjednoczonych. Z niecierpliwością wyczekiwałam pierwszego spotkania kółka biologicznego najstarszych klas, na które jak zwykle zapisała się garstka tych samych osób. Kiedy więc wkroczyłam do znajomego pomieszczenia, mieszczącego się w tym samym skrzydle co szatnie sportowców, uśmiechałam się szeroko. I nawet woń stęchlizny nie mogła zaburzyć mojej radości.

Olivia Blake, przyszła lekarka o wiecznie zarumienionych policzkach, pomachała do mnie energicznie, wskazując na wolne krzesło. Usiadłam obok koleżanki i przywitałam się z kartkującą stary, zużyty segregator, skrytą za czarnymi oprawkami

okularów Bellą Moore. Potem przybiłam piątki z Liamem i Noahem, specjalistami od biologii molekularnej. Tiffany jak zwykle się spóźniała, jednak nikt nie był tym zaskoczony. Nawet profesor Hardy, która przygotowywała nas do egzaminów z biologii, zdawała sobie sprawę, że to u niej norma.

– Co dziś robimy? – zapytałam, zerkając na przeglądany przez Bellę zbiór tematów. Jej proste czarne włosy przysłaniały niektóre strony, przez co ciężko było mi cokolwiek przeczytać.

– Profesor Hardy kazała jej znaleźć tabelę krzyżówek genetycznych – oświadczył Liam, zakładając za uszy swoje długie blond fale.

– Czyli omawiamy dziś prawa Mendla. – Z Inianej torby w matematyczne wzory, którą dostałam od pracującej na Uniwersytecie Chicagowskim siostry, wyciągnęłam zeszyt i ołówek.

– Właśnie tak, Emily. – Profesor Hardy wkroczyła do sali, niosąc w dłoniach plansze z przedstawieniem cech dziedziczenia. – Ale bądźmy precyzyjni w nomenklaturze. Bella nie szuka krzyżówek genetycznych, tylko szachownicy Punnetta*, panie McCraft.

– Co będziemy rozpisywać? – zwróciłam się do nauczycielki.

– Omówimy zagadnienia związane z dziedziczeniem grupy krwi. Zbadamy też prawdopodobieństwo dziedziczenia chorób, między innymi hemofilii czy fenyloketonurii. Potraktujmy to jako powtórkę z zeszłego roku, nim przejdziemy do bardziej skomplikowanych zagadnień, których znajomość może się wam przydać podczas egzaminów końcowych.

– Mam! – zawołała zadowolona Isabella, wymachując nad głową kartką z tabelkami.

* Szachownica Punnetta – tabela z przedstawionymi możliwymi kombinacjami typów gamet w czasie zapłodnienia.

– Pobiegnij do ksero i zrób dwadzieścia kopii, trochę ich dziś wypełnimy – poprosiła nauczycielka. Gdy Bella opuściła klasę, profesor Hardy dodała: – A może ktoś chce przypomnieć, na czym polega prawo Mendla?

Moja ręka błyskawicznie wystrzeliła do góry. Uwielbiałam tę dziedzinę biologii. Właściwie to uwielbiałam wszystko, co było związane z tym przedmiotem.

– Emily, chodź. – Nauczycielka przywołała mnie do tablicy.

– Dzień dobry, profesor Hardy! – Tiffany wpadła do klasy niczym huragan. Sięgające uszu brązowe włosy z różowymi końcówkami falowały wokół jej twarzy, gdy zajmowała miejsce między Noahem a Liamem. Tego ostatniego cmoknęła w usta i zabrała się do wypakowywania podręczników i zeszytów z ozdobionego kolorowymi naszywkami plecaka. – Przepraszam za spóźnienie, ale tłumaczyłam jednej drugoklasistce, dlaczego nie powinna wyrzucać plastikowej butelki do odpadów zmieszanych. – Wywróciła oczami.

– Spokojnie, jeszcze nie zaczęliśmy. – Nauczycielka poprawiła okulary w prostokątnych oprawkach i pomachała do mnie zachęcająco. – Emily właśnie zamierza przybliżyć nam najważniejsze założenia dziedziczenia genetycznego, później przejdziemy do zadań praktycznych. Możesz zaczynać. – Uśmiechnęła się do mnie.

Chwytiłam marker, bujne rude loki wsunęłam za lekko odstające uszy i przyłożyłam końcówkę pisaka do lśniącej białą tablicy. Czułam się, jakbym była co najmniej wykładowczynią, która przygotowuje swoich studentów do egzaminu. Podobało mi się to! Prawie tak bardzo jak obcowanie ze zwierzętami.

Godzinę później, po zajęciach dodatkowych, tylnym wyjściem przeszliśmy prosto na szkolny parking. Żadne z nas nie jeździło autem, ale Olivia i Bella zostawiały tam swoje rowery, podobnie jak kiedyś moja siostra, gdy pracowała w tutejszej stołówce. Tiffany, która gardziła wszelkiego rodzaju środkami transportu (chyba że musiała dojechać do centrum lub innego miasta), mieszkała na sąsiedniej ulicy i wracała do domu razem ze swoim chłopakiem Liamem pieszo. W dni, w które odbywało się spotkanie kółka biologicznego, zazwyczaj czekała na młodszą o rok siostrę. Dziewczyna o tej samej porze kończyła trening cheerleaderek. Tiffany uwielbiała droczyć się z Lisą, manifestując swoją niechęć do wszystkiego co związane z koszykówką.

Ja jak zwykle przyjechałam na rolkach.

– Szykuje się jakaś akcja na wrzesień? – Noah zarzucił ramię na szyję niższego od niego o głowę Liama i uśmiechnął się do mnie znacząco.

Wyglądał o wiele dojrzalej niż przed wakacjami. Miałam wrażenie, że urosł o kilka cali, jego sylwetka zdawała się lepiej zbudowana, a na podbródku i żuchwie pojawił się mikroskopijny ciemny zarost. Brwi jakby zgęstniały, a kości policzkowe dodały charakteru jego owalnej twarzy. W pierwszej klasie spotykaliśmy się przez parę tygodni, ale pomijając kilka niewinnych pocałunków, trudno było nazwać tę relację związkiem. On był zbyt wycofany, a z mojej strony zabrakło zaangażowania, by to ciągnąć. Od tamtego czasu po prostu się przyjaźniliśmy i to w zupełności nam obojgu odpowiadało. Nie było między nami żadnych niedomówień czy ukrytej urazy. Łączyła nas pasja do nauki i chęć zmiany świata na lepsze.

– Słyszałam, że za miesiąc artyści organizują wystawę swoich zeszłorocznych prac – oświadczyłam. – Zajmą całą halę i będą

ją okupować aż trzy dni. Możemy się do nich podłączyć i otworzyć stoisko z petycją, o której wspominała Tiffany.

– Stop zmianom klimatycznym! – wykrzyknęła moja przyjaciółka. Jej piskliwy głos poniósł się echem po niemal pustym parkingu.

Niemal, bo ostatnie sześć miejsc zajmowały auta członków drużyny Błyskawic, sportowców, którzy zamiast przy każdej możliwej okazji dbać o kondycję, paradoksalnie wozili swoje leniwe tyłki w wypasionych, zanieczyszczających powietrze furach. Na hali, której okna wychodziły prosto na ogrodzony plac, właśnie odbywał się trening. Profesor Hardy na naszą prośbę wypuszczała nas z zajęć kilka minut wcześniej, byśmy w drodze do wyjścia nie musieli przeciskać się obok spoconych i aroganckich koszykarzy.

Jako grupa licealistów zafiksowanych na punkcie środowiska i ekologii nie byliśmy szczególnie lubiani, dlatego woleliśmy unikać osób, które znajdowały przyjemność w naśmiewaniu się z naszej misji, a tak się nieszczęśliwie składało, że chłopcy będący dumą naszej szkoły często umniejszali naszym osiągnięciom.

Czy słusznie? Szczerze wątpię.

W końcu oni trafiali kawałkiem nadmuchanej gumy do metalowej obręczy, a my dbaliśmy o to, by pszczoły nie wyginęły, a co za tym idzie, przetrwała ludzkość.

– Przygotuję ulotki – zaproponowała Olivia, a jej policzki stały się niemal bordowe z ekscytacji.

– A ja pogadam z chłopakami z rzeźbiarstwa, czy zgodzą się na nasz udział – dodał Noah.

Liam i Tiffany obiecali zaprojektować plakaty, ja miałam się zająć wyposażeniem stoiska i wymyślić hasła, które zachęcą uczniów do poparcia idei ochrony klimatu.

Siedziałam na krawężniku i zapinałam swoje odrobinę zniszczone, lawendowe rolki, gdy do moich uszu dotarł dźwięk dzwonka ogłaszającego przerwę. Za kilkadziesiąt sekund koszykarze wybiegną na parking. Musiałam się zmywać.

W uszy wcisnęłam słuchawki i uruchomiłam ulubioną playlistę. Wstałam, otrzepałam z piasku luźne, sięgające kolan spodni z białego jeansu i wyjechałam poza teren liceum. Słońce wciąż znajdowało się wysoko na niebie, gdy uśmiechnięta, z rudymi lokami spływającymi mi na ramiona i plecy, przemierzałam ulice Weston.

* * *

– Emily, wykąpiesz Bruncha? Znów wytarzał się w jakiejś padlinie w parku.

Zmęczona mama wsunęła głowę do mojego pokoju, gdy przepisywałam notatki z biologii do specjalnego notesu, który miał mi służyć jako skarbnica najcenniejszej wiedzy. Jej miedziane loki kontrastowały z jasną cerą, obie te cechy odziedziczyłam właśnie po niej. Wciąż była piękna, pomimo kilku zmarszczek w kącikach jej dużych oczu.

– Już idę. – Uśmiechnęłam się do niej. W przeciwieństwie do mamy, na mnie cuchnące psiaki nie robiły żadnego wrażenia. – A co z Ore?

– Jego też możesz wykąpać. Przecież wiesz, jak lubi wodę.

Brunch i Ore to moi dwaj psi bracia. Tata znalazł ich kilkanaście lat temu na stacji benzynowej na obrzeżach Weston i od tego czasu obaj stali się członkami naszej odrobinę szalonej rodziny. Całe dzieciństwo kojarzy mi się ze wspólnymi wyścigami po podwórku, z drzemkami w ich pośłaniach, ułożonych w ciasnym korytarzu łączącym kuchnię z łazienką, i szukaniem schronienia w ich budach po tym, jak coś zbroiłam.

Nie dopuszczałam do siebie myśli, że pewnego dnia może ich zabraknąć. Na szczęście, choć obaj byli już staruszkami, nadal rozpierała ich energia.

Zgodnie z obietnicą kilka minut później zbiegłam boso na dół i zabrałam z łazienki specjalny szampon i dwa ręczniki. Na podwórku napuściłam wody do wielkiej miski i zaciągnęłam do niej Bruncha, który w przeciwieństwie do brata nie-nawidził kąpieli. Walcząc z upartym psiakiem, zmoczyłam nie tylko jego puszystą, rudą sierść, ale i samą siebie. Odór padliny długo nie chciał się ulotnić, i to mimo użycia podwójnej porcji kosmetyku.

Oplukanego i obrażonego psiaka wytarłam porządnie ręcznikiem i zaprowadziłam do domu, żeby przypadkiem w ramach zemsty nie wytarzał się w piachu. Szczotką wycesałam powstałe kołtuny, łapy posmarowałam balsamem ochronnym i nagrodziłam go kilkoma przysmakami. Oczywiście łakomczuch zjadł je w mgnieniu oka, ale na znak protestu odwracał ode mnie łepki, gdy tylko pojawiałam się w zasięgu jego wzroku.

Kąpiel Ore przebiegła dużo sprawniej i przyjemniej. Gdy szorowałam mu plecy, przeżył się niczym kot, byle tylko jak najdłużej cieszyć się pieszczotami. Po wszystkim podobnie jak Brunch wrócił ze mną do środka, gdzie zaznał odrobiny luksusu w postaci czesania i zabezpieczania opuszków. Zadowolony, zaraz po tym jak najadł się przysmaków, zasnął, a ja mogłam wrócić do nauki, która bez przerwy zaprzętała moją głowę.

Ktoś mógłby pomyśleć, że to odrobinę szalone, ale w naszej rodzinie to dziedziczne, całkiem jak w prawie Mendla, o którym rozmawialiśmy na kółku biologicznym. Wyglądało na to, że rodzice byli nosicielami genu odpowiadającego za potrzebę pogłębiania wiedzy, a ja i moja starsza siostra Mia zgodnie z szachownicą Punnetta zgarnęłyśmy po dwie gamety

tych cech. Jedyne, co nas różniło, to fakt, że ona swoje serce oddała matematyce i pewnemu popularnemu koszykarzowi, a ja biologii.